

MARIUSZ WOŁOS

<https://orcid.org/0000-0001-6943-1069>

Instytut Historii i Archiwistyki

Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie

Instytut Historii PAN, Warszawa

Nieudane próby zakorzenienia marksizmu w polskiej historiografii, podejmowane z powodów ideologicznych oraz politycznych w minionej epoce Polski zwanej górnolotnie „ludową”, doprowadziły do sytuacji z metodologicznego punktu widzenia zaiste kuriozalnej. Rezultat jest bowiem taki, że dekady poprzedzające interesujące nas z górą trzydziestolecie ugruntowały i tak dobrze wcześniej osadzone w naszym dziejopisarstwie pozytywizm. Zaryzykuję twierdzenie, że wciąż dominuje on w polskiej historiografii i stanowi jej główny nurt, nawet jeśli określimy go może bardziej adekwatnym mianem postpozytywizmu. W większości ośrodków akademickich i w większości pracowni historycznych tychże ośrodków adeptów naszej dyscypliny uczy się bowiem wzorów czerpiących szeroką garścią właśnie z pozytywizmu. Dominuje heurystyka, eksplorowanie źródeł, a następnie ich eksploatawanie *ad finem* poprzez niekończące się zadawanie pytań, dopiero dalej lokuje się hermeneutyka. Otwarcie granic i wielu niedostępnych wcześniej archiwów, które dokonało się w trakcie lub po przełomie lat 1988–1991, stanowiło i do tej pory stanowi niezłe podglebie dla takiego stanu rzeczy. To wszakże nie wszystko. Z opóźnieniem dotarły do nas z Zachodu prądy postmodernistyczne, które wciąż pozostają atrakcyjne dla Europy Środkowo-Wschodniej, pomimo że w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Francji najlepsze lata mają już za sobą. Przyniosły one jednak istotne pytania dotyczące tak źródła historycznego, jak i instrumentarium będącego na wyposażeniu historyka i stanowiącego element jego warsztatu. Co prawda, większość istotnych kwestii postawionych przez postmodernistów pojawiała się już wcześniej, ale może w innej formie i nie tak wyraziście. Postnowoczesność poszerzyła nadto spectrum pól badawczych o takie zagadnienia jak mikrohistoria, studia postkolonialne, badania peryferii, pamięci, postpamięci i *lieu de mémoire*, kontestowane przez jednych, a bronione przez innych *gender studies*, uznana przez

niektórych wręcz za niebezpieczną, przez drugich zaś postrzegana jako metodologiczne wyzwanie „historia kontrfaktyczna” czy „alternatywna”, uprawiana także na poziomie akademickim, wreszcie — w mniejszym zakresie — historia brudu, zapachu, strachu, zwierząt itd. Może nieco przekornie można by dodać w tym miejscu jeszcze tzw. imperiologię. Dziś jest to raczej postpostmodernizm widziany przez wielu jako główny nurt opozycyjny wobec wciąż krzepko trzymającego się nad Wisłą postpozytywizmu. We współczesnej polskiej historiografii znaleźć można też pogrobowców francuskiej szkoły Annales, zwłaszcza wśród badaczy zajmujących się kulturą materialną. W porównaniu z nurtem głównym stanowią oni raczej grupę niewielką, choć wyróżniającą się na tle całości. Niespecjalnie widać natomiast marksistów. Nieco zaś lepiej, rosnących w siłę, marksistów kulturowych.

Ta pobieżna i dalece niewyczerpująca charakterystyka prowadzi do co najmniej trzech wniosków — po pierwsze, historiografia polska ostatniego trzydziestolecia znajduje się na metodologicznym rozdrożu i trudno jednoznacznie wskazać, w którą stronę lub raczej, w które strony podąży; po wtóre, mamy wciąż do czynienia z jedną historiografią, aczkolwiek jest ona całkiem nieźle urozmaicona i ta ostatnia jej cecha nie jest bynajmniej niczym złym; po trzecie wreszcie może nadużywany tu przedrostek „post” wcale w mojej opinii nie oznacza końca historii, do czego jeszcze wrócę.

Kondycja współczesnej historiografii polskiej nie jest najlepsza. Przyczyny takiego stanu rzeczy są rozmaite i ich szczegółowa analiza przekracza skromne ramy odpowiedzi na pomieszczone w ankiecie pytania, precyzyjnie zakreślone przez Redaktora „Kwartalnika Historycznego”. Do kilku z nich, tych bardziej „przyziemnych”, muszę się jednak odnieść. Umasowienie studiów doktoranckich, przypadające właśnie na lata dziewięćdziesiąte minionego stulecia i niemal całe dwudziestolecie obecnego wieku skutecznie ugodziło w relację mistrz — uczeń. To z kolei doprowadziło do osłabienia albo wręcz rozkładu „szkół historycznych” w najlepszym pojęciu tego określenia, w których wykuwały się następne pokolenia badaczy. Seminaria doktoranckie w większości przypadków przestały pełnić rolę miejsca wymiany myśli, dzielenia się umiejętnościami warsztatowymi, zapoznawania z metodologią, wreszcie omawiania ważnych dzieł. Stały się w niemałym stopniu platformą niezbędną dla konsultacji o charakterze indywidualnym. Nie mam wątpliwości, że skutkuje to drastycznym obniżeniem poziomu naukowego dysertacji doktorskich, a co za tym idzie rozpraw habilitacyjnych, tzw. książek profesorskich itd. — w efekcie rzutuje negatywnie, bo i rzutować musi na całość polskiej historiografii. Być może rozwiązania wprowadzone przez ustawę o nauce

i szkolnictwie wyższym z 20 lipca 2018 r. w postaci narzuconych odgórnie szkół doktorskich cokolwiek w tym zakresie zmieniają, bo wymuszają redukcję liczby doktorantów, ale opisane wyżej procesy poszły tak daleko, że mój optymizm jest więcej niż umiarkowany. Dominacja angielszczyzny, mocno promowanej przez rządzących, akurat w przypadku dyscypliny historia wcale nie musi przynieść wyłącznie pozytywnych efektów. Język angielski jest niezbędny dla przedstawienia wyników badań, międzynarodowego dyskursu, wymiany myśli. W Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej kluczową rolę w badaniach źródłowych wciąż odgrywają jednak języki narodowe, wreszcie łacina, francuski, niemiecki i rosyjski. Tymczasem znajomość czterech ostatnich języków u polskich historyków zanika. To z kolei przynosi rezultaty niepokojące, aby wymienić tylko dla niezbędnego przykładu kurczące się studia sowietologiczne, ograniczenie badań nad dziejami stosunków międzynarodowych i historii dyplomacji, kryzys naukowych dociekań na temat wieku XIX czy elit w czasach nowożytnych. O coraz większej ekskluzywności poszukiwań w zakresie starożytności i mediewistyki już nie wspominam, bo epoki te zawsze wyróżniały się elitarnością badań, w niemalym stopniu determinowaną właśnie kwestiami językowymi.

Zaryzykowałbym twierdzenie, że kontakt polskich historyków z ich koleżankami i kolegami — w niczym nie ujmując niemałej liczbie wymykających się z owego uogólnienia jednostkowych przypadków — jest szerszy niż w poprzedniej epoce, ale i płytszy. Jesteśmy obecni na konferencjach zagranicznych, odbywamy staże w ważnych ośrodkach naukowych na świecie, coraz więcej publikujemy po angielsku, ale czy zjawiskiem powszechnym jest stały udział polskich badaczy przeszłości w pracach międzynarodowych zespołów mających najpoważniejszy wpływ na rozwój historiografii światowej? Mam co do tego wątpliwości, aczkolwiek trudno nie dostrzec przysłowiowych światełek w tunelu, aby wymienić tylko dwa: powierzenie Polakom, ściśle ośrodkowi poznańskiemu, organizacji XXIII Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych oraz zorganizowanie w Krakowie trzech Kongresów Zagranicznych Badaczy Dziejów Polski (2007, 2012, 2017). Planowane są kolejne. Siłą rzeczy wymienione inicjatywy nie dały jeszcze wszystkich owoców i trudno je jednoznacznie oceniać z dzisiejszej perspektywy.

Ostatnie trzydzieście lat przyniosło zaniedbania w zakresie niektórych istotnych kierunków badań. W pierwszym rzędzie mam na myśli historię gospodarczą, poniekąd także historię społeczną rozumianą przeze mnie w bardziej klasycznym niż wcale popularna dziś *social history* ujęciu: podejmowania szerokich badań demograficznych, analizowania procesów modernizacyjnych, ewolucji postaw, przemian kulturowych,

komparatystyki itd. Skurczyły się badania o charakterze interdyscyplinarnym, a urzędnicze odgradzanie dyscyplin zapewne zjawisko to pogłębi. Może najbardziej niepokoi mnie malejąca liczba syntez z zakresu historii powszechnej, ale także dziejów stosunków międzynarodowych, idąca w parze z rozwojem szczegółarstwa i przyczynkarstwa. Brak obecnie odpowiednika choćby tak ambitnej serii jak dzieje państw wydawane ongiś przez Ossolineum (jakąś namiastką, też już zarzuconą, była seria pt. *Historia państw świata w XX i XXI wieku* Wydawnictwa Trio). Podczas prac w jury powołanym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w celu rozstrzygnięcia konkursu na najlepszą pracę z zakresu dziejów szeroko rozumianej dyplomacji i stosunków międzynarodowych na pewno nie mieliśmy nigdy do czynienia z sytuacją określaną po francusku jako *embarras de richesse*. Pociuszające jest natomiast wydanie przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych już ponad 30 woluminów *Polskich dokumentów dyplomatycznych z lat 1918–1989*. To po prostu nadrabianie kulturowej, bo nie tylko historiograficznej, zaległości w stosunku do większości szanujących się państw. Współczesne rodzime dziejopisarstwo zdominowały sprawy polityczne i wojskowe. Nastąpiła też istna erupcja biografistyki, którą traktuję nade wszystko jako naturalne odreagowanie na próby odpersonifikowania dziejów w czasach poprzednich i stawianie akcentu nie na jednostki, lecz masy i klasy. Kij ma jednak dwa końce. Wychodzenie z Polski „ludowej” przyniosło też zaniedbania w zakresie badań nad ruchami lewicowymi, zwłaszcza skrajnie lewicowymi, mimo iż ich prowadzenie zostało pozbawione ciasnego gorsetu w postaci cenzury i nacisków ideologicznych, możliwości zaś dotarcia do kluczowych źródeł uległy poszerzeniu. To rezultat swoistego rodzaju zmęczenia materiału i odchylenia wahadła w drugą stronę. Teoretycy historii są bardziej odwórczy niż twórczy, za to wyraźnie zapatrzeni w Zachód i skłonni przyjmować z otwartymi ramionami płynące stamtąd idee niczym prawdę objawioną. Niewymieniony we wstępie do ankiety Jerzy Topolski starał się jednak twórczo modyfikować marksizm w historiografii i dostosowywać go do istniejących warunków. Zawężyły nam się poszukiwania w ramach historii historiografii wraz z odejściem kilku specjalistów w tym zakresie (m.in. Andrzeja Feliksa Grabskiego, Jerzego Serczyka).

Aby odpowiedzieć na postawione w ankiecie kwestie, należało zrobić ten krótki, zawsze przecież subiektywny, z całą pewnością nazbyt lakoniczny i dyskusyjny przegląd.

Odnosząc się do dwóch pierwszych pytań zawartych w ankiecie, uważam, że największym i najbardziej inspirującym osiągnięciem historiografii polskiej ostatnich trzech dekad było i jest podkreślenie w licznych ważnych publikacjach oraz przy wielu okazjach stworzonych w ramach

wielkich kongresów, zjazdów czy konferencji międzynarodowych zagadnień wielokulturowości, wieloetniczności i wielonarodowości dziejów tak przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, jak i międzywojennej Polski. Tym samym starano się z całkiem dobrym skutkiem określić miejsce wspomnianych państw na mapie Europy na przestrzeni kilku stuleci. To wkomponowanie historii Polaków w szersze ramy dziejów narodów położonych między zawsze umownym Wschodem a Zachodem. To również zaznaczenie więzi historycznych, niekiedy nader skomplikowanych, wręcz bolesnych, a łączących nas z Białorusinami, Czechami, Litwinami, Łotyszami, Niemcami, Rosjanami, Ukraińcami, Słowakami, Tata-rami, Węgrami, Żydami itd. Rzecz jasna, nie wszystko w tym zakresie osiągnięto i wiele jeszcze pozostało do zrobienia. To wyzwanie stojące przed nami na kolejne dziesięciolecia. Towarzyszyć mu powinno jeszcze jedno — podkreślenie polskiego wkładu w cywilizację światową. Nie chodzi bynajmniej o granie na narodowych bębenkach, ale zaznaczenie swojego miejsca w dziejach powszechnych w możliwie szerokim wymiarze. Tu właśnie upatruję może najważniejsze i najtrudniejsze wyzwanie dla „zawodowej/akademickiej historiografii w nadchodzących latach”. Historia się nie skończyła i nie skończy tak długo, jak nie skończy się ludzkość wraz ze swymi wartościami, w tym naturalnym zainteresowaniem przeszłością, niemal zawsze inaczej rozumianą zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i zbiorowym. Historia nie skończy się tak długo, jak trwać będzie przedmiot jej badań, czyli dzieje. Koniec historii to próżne hasło, coś w rodzaju intelektualnego *bon mot*. Historia będzie potrzebna, bo jest komponentą cywilizacji. Za wskazanymi wyżej wyzwaniami winny nadażać refleksja historiograficzna, metodologiczna i historiozoficzna.

W nawiązaniu do pytania trzeciego — oczywiście, że w naszej historiografii jest i zawsze powinno być miejsce na syntezy. Dawne szkoły historyczne zwracały na tę kwestię szczególną uwagę. Niemal każdy szanujący się historyk wieńczył swoje długoletnie badania syntezą/syntezami. Przywołać mogę tutaj dziesiątki nazwisk. Ograniczę się tylko do kilku, reprezentujących różne pokolenia i różne środowiska — na emigracji: Oskar Halecki, Marian Kukiel, Piotr Stefan Wandycz, w kraju: Ludwik Bazyłow, Stefan Kieniewicz, Janusz Pajewski, Emanuel Rostworowski, Henryk Wereszycki. Wszyscy pozostawili po sobie syntezy, bynajmniej nie tylko dziejów Polski, ale i Europy Środkowo-Wschodniej czy nawet historii powszechnej w szerokim, bo wszechświatowym rozumieniu tego pojęcia. Mam wrażenie, że to naturalne ongiś dążenie do napisania syntezy zostało dziś zatracone, może nie do końca, ale jednak. W ostatnim trzydziestoleciu wyraźnie zmniejszyła się liczba syntez na temat historii powszechnej. Nieco lepiej, co nie oznacza, że dobrze, wygląda

to w odniesieniu do historii Polski, będącej przecież też częścią dziejów powszechnych. Syntetyczne rozprawy naukowe o przeszłości naszego państwa i narodu są pisane, choć przeważnie mają charakter wycinkowy, ograniczony cezurami dłuższej lub krótszej epoki historycznej.

Znalezienie odpowiedzi na ostatnie pytanie o społeczną, nawet publiczną funkcję historiografii jest być może najtrudniejsze. W moim przekonaniu wciąż obowiązuje imperatyw służby społeczeństwu czy narodowi lub narodom. Nikt historyków z niego nie zwolnił. Ową rolę czy funkcję postrzegam jednak nader skromnie. Ma ona bowiem charakter służebny w tym sensie, że historyk jest dla współczesnych przewodnikiem po przeszłości, tłumaczem zawłości dziejów, różnic kulturowych, cywilizacyjnych, społecznych, politycznych czy religijnych. Tym lepiej uda mu się wypełnienie tej roli, im więcej wiedział będzie o perspektywie tamtejszej, historycznej właśnie, i będzie umiał oderwać się od widzenia przeszłości wyłącznie przez okulary terażniejszości, w której przyszło mu żyć. Grozi to bowiem „przeżywaniem” dziejów przez samego badacza i odejściem od postawy „zimnego scjentyisty”. Wskazanie różnic między perspektywą przeszłości a perspektywą terażniejszości to także zadanie historyka. Badacz dziejów zawsze powinien przy tym pamiętać o łacińskiej maksymie *audiatur et altera pars*. Są jeszcze „warunki brzegowe”. Z jednej strony historyk nie powinien wcielać się w rolę lelewelowskiego strażnika narodowej pamięci. Sam się wówczas ogranicza. Zawęża pole swojego działania. Nie powinien również dać się wprzęgnąć w rydwan kreowanej z przyczyn pozanaukowych przez takie, czy inne ugrupowania polityczne „polityki historycznej”, choć nie jest zwolniony od prostowania przekłamań, fałszu, korygowania proporcji w interpretacji wybranych elementów przeszłości. Zadaniem jego jest przecież kształtowanie świadomości historycznej. Z drugiej strony musi permanentnie poszerzać stan wiedzy i dążyć do „prawdy obiektywnej”, której z różnych przyczyn nigdy nie osiągnie, bynajmniej nie dlatego, że jej nie ma, ale dlatego, iż my historycy nigdy nie mieliśmy, nie mamy i mieć nie będziemy dość doskonałego instrumentarium, ażeby do naszego upragnionego celu dotrzeć. Samo dążenie do nieosiągalnej doskonałości jest kolejnym imperatywem czy może lepiej determinantą służby historyka, na którą sam się skazał. Od społecznej i publicznej roli uchylać mu się nie wolno. Tymczasem nierzadko słyszę od koleżanek i kolegów po fachu, że nigdy nie zhańbili się popularyzowaniem wiedzy i nie wyszli w swoich publikacjach poza *stricte* naukowe wydawnictwa czy periodyki. Zamykanie się znów w przysłowiowej wieży z kości słoniowej, innymi słowy jedynie w zaciszu gabinetów, nie jest postawą optymalną. To historyk powinien być najlepszym ekspertem od tłumaczenia niehistorykom

meandrów przeszłości, nawet jeśli narazi się na krytykę, nawet jeśli stanie naprzeciw wszechwładnym mitom, stereotypom czy uproszczeniom, nawet jeśli nie sprzyja temu popularna ostatnio, a narzucona nam odgórnie tzw. naukometria. Humanistyki nie da się zmierzyć i zważyć. Historyk-akademik nie powinien zatem unikać udziału w publicznych dyskusjach, odmawiać wywiadów dla mediów, bynajmniej nie tylko polskich, ale i zagranicznych, uchylać się od wymiany myśli z osobami spoza fachu. Znajdą się bowiem tacy, którzy go chętnie zastąpią, nie zawsze mając do tego odpowiedni zasób kompetencji czy po prostu wiedzy, nie rzadko za to kierowani jakże groźnym dla naszej nauki aprioryzmem. W niemałym stopniu to właśnie różni uczonego historyka-humanistę od większości (choć na szczęście nie od wszystkich) przedstawicieli nauk „twardych” – ścisłych oraz stosowanych. Trzeba jednak wiedzieć, iż również w znacznie większym stopniu może go to wystawić na rozmaite niebezpieczeństwa i pokusy, prowadzić na naukowe manowce, oddalić od profesjonalnych kanonów, zachęcać do kroczenia na skróty. Ani rok 2021, ani lata następne niczego w tym zakresie zmieniać nie powinny.